

AGNIESZKA
JEŻ

TOM 2

SAGA RODZINY

POLAKOWSKICH

DŁUGIE
POŁUDNIE



Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska
Wydawczyni: Monika Rossiter
Redakcja: Lena Marciniak-Cąkała
Korekta: Beata Wójcik
Projekt okładki: Urszula Gireń
Zdjęcia na okładce: © Kemal, © BrAt82, © ana / Stock.Adobe.com
DTP: pagegraph.pl

Copyright © 2023 by Agnieszka Jeż

Copyright © 2023, Wydawnictwo Kobięce Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2023
ISBN 978-83-8321-669-0

Grupa Wydawnictwo Kobięce | www.WydawnictwoKobięce.pl



Rozdział 1

Pahlevi, lato 1942 roku

Anna przymknęła oczy. Na powiekach poczuła słoneczne ciepło; świat zamienił się w miedzianozłote rozbłyski.

– Nie odpływaj. – Usłyszała.

Uśmiechnęła się. Było jej tak dobrze; ciepło, bezpiecznie, miękko. Mocno grzało, ale drzewa dawały im wytchnienie w cieniu. Dęby – pomniki ostoi i pewności, przed nimi sossny, czuła ich żywiczny zapach. A najbliżej brzozy; delikatne, jak z obrazów impresjonistów – biel złamana szarością i setki zielonych kropek, które fruwały pod jej powiekami.

– Nie odpływaj.

Dokąd by miała stąd odpłynąć? W oddali szumiało morze, co było dziwne, bo skąd tu woda, ale ten odgłos wcale jej nie wołał, nie miała ku niemu ciekawości. Zdecydowanie wolała być tu, z nim. Wreszcie znowu razem. Była wprawiona w czekaniu na niego. W osiemnastym, kiedy wstąpił do armii, rozłączyli się na trzy lata. Zupełnie jak teraz. Może to taka prawidłowość, że wojny zabierają żonom mężów na taki czas? Trójka: jedność we wspólnocie, siła charakterów, moc sprawcza – taka symbolika. Przetrwali to i wtedy, i teraz. Połączyli się na zawsze, wbrew wszelkim przeciwnościom.

Racjonaliści wyśmiewają tych, co mówią o przeczuciach i uczuciach. „Zdrowy rozsądek, logika!”, tym człowiek powinien się kierować w życiu. Nie negowała tych przymiotów, ale one były o krok za intuicją, która działała szybciej niż najsprawniejsze maszyny liczące, o ile oczywiście miało się do niej dostęp. Anna miała. Dlatego wyszła za mąż za Franciszka Polakowskiego. I dlatego teraz, mimo wojny, mogła poczuć spokój – na tej łące, w plamie światła i ciepła, z nim u boku. Jak pięć lat temu, kiedy z ich namiętności poczynął się Krzyś.

– Jestem tu. Spokojna i szczęśliwa.

Wyciągnęła w bok prawą rękę. Zacisnęła dłoń na jego ramieniu. Wzdrygnęła się. Było inne – chudsze, jakby krzywe. Nieznane.

Otworzyła oczy.

– Och!... – wyrwało się jej coś między okrzykiem a jękiem.

Nie była w Niemowiczach, tylko na perskiej plaży. Przed palącym słońcem osłaniało ją zadaszenie z liści palmowych, a nie las. Pod sobą miała brązowy koc ułożony na piasku, a nie trawę. Najgorsze jednak było to, że obok leżał obcy mężczyzna, nie jej ukochany Franciszek.

Oczy miał przymknięte, nie zareagował na jej dotyk.

Anna się rozejrzała. Miała tu liczne towarzystwo. Posłanie przy posłaniu, głowa przy głowie. Niektóre koce były puste, jak te z lewej jej strony, na innych leżały ludzkie ciała. Tak teraz o nich pomyślała: ludzkie ciała. Jasne, wychudzone, obleczone w czystą odzież. Jak ciało przygotowywane do trumny – ono już u kresu swojej ludzkiej wędrówki, zużyte, schorowane, a ubranie nowe, specjalnie na tę okazję przyszykowane, żeby u bram wiecznego życia godnie się zaprezentować.

Raz jeszcze dotknęła ramienia obcego. Na starej, po-bruźdzonej twarzy nie zauważyła najmniejszego ruchu. Przyłożyła drżącą dłoń do zwiotczałej szyi. Poczowała pod pal-cami lekkie pulsowanie. Odetchnęła z ulgą; nie знаła tego człowieka, śmierć stała się już oswojonym wydarzeniem, tyle razy w ostatnich latach ją widziała, a jednak bardzo by nie chciała, żeby ten mężczyzna nie żył. Nie chodziło jej o niego samego, co przyznała z lekkim wstydem, ale o to, że potraktowałaby tę sytuację jako zły znak. Bo skoro wzięła – w półśnie – tego człowieka za swojego męża, a on by nie żył, to by sugerowało, że Franciszek...

– Och! – Teraz się otrząsnęła. I z drobin piasku, i z tych myśli.

Podniosła się z posłania. Stała na plaży, w miejscu obozowiska, które Persowie przygotowali dla przesiedleń-ców. Musieli tu odbyć kwarantannę, nim zabiorą ich do obozu. Z Krasnowodzka wypływali jak zwycięzcy – nic, że kurs był w nieznane, a nie do ojczyzny. Wiedzieli, że tu-taj czeka na nich bezpieczny ląd. Byli wśród tych, których nie zmogły długie miesiące na nieludzkiej ziemi, którzy siłą woli, wspomagani modlitwą i łutem szczęścia opuścili sowieckie piekło. Do Pahlevi wpływali jednak jak ofiary. Kilkadziesiąt godzin na morzu spędzili w bydłących wa-runkach. Statek był obciążony ponad miarę, co wykluczało zachowanie higieny. Cztery i pół tysiąca ludzi bez dostępu do cywilizowanej toalety – taka była, między innymi, cena za wywiezienie jak największej liczby Polaków ze Związku Radzieckiego. Kapitan wyznaczył im kawałek statku, właś-ciwie to burtę, za którą należało się wysunąć, by morze przyjęło to, co nie mogło się znaleźć w łazience dla załogi. Wiele osób nie zdołało się utrzymać na linie, która miała

ich zabezpieczać podczas tej upokarzającej ekwilibrystyki. Anna patrzyła na nieszczęśników, którzy zostawali w granatowej toni, coraz mniejsi i mniejsi, aż znikali całkowicie. Nie było możliwości, żeby ich wyławiać – przy takim obciążeniu statek musiał być cały czas w ruchu, inaczej groziła im wywrotka. „Mniejsze zło”, stwierdził kapitan. „Do tej pory zło zawsze było większe, zatem nastąpiła poprawa sytuacji”, odpowiedział ktoś obok. Trochę ironicznie, ale i trochę akceptująco. Tak czy owak, od tej pory ludzie szli za potrzebą w każdy możliwy kąt, nie bacząc na zasady, wstyd, współtowarzyszy. Przeżyć – to było najważniejsze.

Kiedy wpłynęli do perskiego portu, przypominali zjawy. Brudni, obdarci, ślaniający się na nogach. Ile czasu musiało trwać sprzątanie po nich Kaganowicza?

Tego nie wiedziała. Gdy postawiła stopę na rozgrzanym piasku, poczuła, że natychmiast przechodzi w inny tryb – z ciągłej walki o przetrwanie, swoje i dzieci – w spoczynek. Patrzyła, jak Zosia, Ela i Krzyś zdejmują z siebie szmatławe ubrania i nago idą pod prysznic. Szła z nimi, też się szorowała i dezynsekowała. Potem po kolei siadali na stołku, a obce palce szukały w ich włosach wszy. Krzyś wyszedł z tej kontroli z ogoloną głową, im udało się zachować włosy. Ucieszyło ją to; gdyby teraz spotkała się z Franciszkiem, nie chciałaby go witać taka oszpecona. Oczywiście wiedziała, że i na nim te trzy lata na pewno odcisnęły piętno, ale pamiętała go takim, jakim go ostatni raz widziała, kiedy sierpniowym świtem zegnała go w drzwiach ich domu.

Potem zjedli chleb i napili się wody. Kiedy położyła się na posłaniu, omiotła jeszcze spojrzeniem dziecięce głowy – Boże! jakby dopiero teraz spostrzegła, że córki to już młode kobiety; Zosia prawie taka jak ona, gdy się zaręczała, Ela –

niewiele młodsza. To właśnie dzięki niej Anna wciąż miała na palcu szafir w koszyczku z granatów. Jak się jej udało zdobyć w Taszkencie jedzenie bez zapłaty? Ludzie bywają dobrzy, ale wtedy, gdy sami walczą o byt, nie odstępują od gratyfikacji, nie oddają porcji, która może decydować o ich przetrwaniu. Czym więc Ela zapłaciła temu młodemu mężczyźnie, który podzielił się z nią swoim wiktem? Wróciła zarumieniona, podminowana, ale przecież chyba... Nie, Anna zaprzeczyła obrazom, które pojawiły się w jej głowie, tak jak wtedy Ela zaprzeczyła jej niedopowiedzianej sugestii. Potem, kątem oka, Anna zauważyła w ręku młodszej córki kartkę z imieniem „Marian”. Zosia miała swojego Jana, z którym regularnie pisywała. Dziewczęta stały na skraju rodzinnego gniazda, gdyby nie wojna, już by rozłożyły skrzydła do lotu, a Anna mogłaby się usunąć w cień. Był jednak jeszcze Krzyś. „Dywidenda od losu”, jak kiedyś powiedział o nim Franciszek. Syn był tak podobny do ojca!... Nawet bez jasnych włosów, takich samych u obydwu, od razu było widać, że to krew z krwi. Anna ścisnęła drobną piąstkę Krzysia i zasnęła. To w tym długim i mocnym śnie powędrowała na łąkę, gdzie przed wojną leżała z mężem i mimo że tego nie wiedziała, już się w niej zaczynało nowe życie.

A teraz?

Dostrzegła trzy znajome sylwetki.

– Mamo! – Krzyś rzucił się ku niej pędem.

Dopadł do niej i mocno przytulił łysą głowę do brzucha, w którym go kiedyś nosiła. Teraz brzuch był wklęsły i wyschnięty. Dramatyczne warunki sprawiły, że Anna nie była już kobietą, która mogłaby wydać na świat kolejne życie. Ten etap jej biologicznej egzystencji się zakończył. W normalnych warunkach pewnie by ją to bardziej obeszło, bo ta

cezura starzenia się nie była przecież obojętna kobietom – przekwitanie kojarzy się z jesienią, powolnym zamieraniem. Wtedy jednak pomyślała, że przynajmniej odpadła jej comiesięczna troska o materiały higieniczne.

– Nie budziliśmy cię – odezwała się Zosia. – Spałaś tak spokojnie, a sen przecież regeneruje.

– Byliśmy w kuchni. Mamy dla ciebie obiad. – Ela odchyliła dłoń, którą przykrywała miskę. Rozniósł się zapach baraniny, a Annie zrobiło się niedobrze, gdy spojrzała na breję z kozuchem zastygającego tłuszczu.

– Pani mówiła, że trzeba jeść mięso. – Krzyś zauważył ten grymas. – Żeby zacząć dobrze żyć. – Podskakiwał i biegał wokół niej, powtarzając: – Żyć, żyć, żyć!

Anna wzięła od młodszej córki miskę i nabrała pierwszą porcję. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że ten zapach to skóra, którą się przykrywała, gdy jechali saniami po świąteczne drzewko. A blask padający na powieki to światło świeczek na ustrojonym już świerku. Kurczowo trzymała się tych przeszłych obrazów; dzięki nim wciąż miała siły do walki o kolejne dni.

Głośno przełknęła i znowu zanurzyła widelec w tężejącej brei.

Chciała żyć. Miała na co czekać.

* * *

Quizil-Ribat, lato 1942 roku

Była bardzo ładna. Wysoka, szczupła, kobieca. I to mimo munduru. Wydawałoby się, że uniform będzie odbierał kobietom wdzięk, ale, ku zdziwieniu Jana, wcale tak nie było.